

AZATHOTH



Gdy świat się zestarzał, a cuda zniknęły z umysłów ludzi; gdy szare miasta podniosły w zadymione niebo swe ponure i brzydkie wieże, w których cieniu nikt już nie mógł śnić o słońcu czy wiosennych, ukwieconych łąkach; gdy wiedza odarła ziemię z jej płaszcza piękności, a poeci nie potrafili już śpiewać o niczym więcej, jak tylko o oglądanych pijanym okiem wypaczonych zjawach swych jestestw; gdy rzeczy prawdziwie wartościowe zaczęły przemijać, a dziecięce nadzieje zniknęły na zawsze, był człowiek, który wywędrował z życia w poszukiwaniu krain, dokąd uciekły sny świata.

Niewiele napisano o imieniu i miejscu zamieszkania tego człowieka, gdyż zajmowano się wtedy tylko rzeczywistością; stąd obie te rzeczy są bardzo tajemnicze. Wystarczy wiedzieć, że mieszkał w mieście z wysokimi murami, w którym panowały sterylne zmierzchy i że harował całymi dniami wśród cieni i hałasów. Wieczorami wracał do pokoju, którego jedyne okno nie patrzyło na pola i lasy, lecz na brudny dziedziniec, na który spoglądały w tępej rozpaczycy też inne okna. Można z nich było dostrzec tylko mury, może z wyjątkiem czegoś, co dawało się zobaczyć, gdy człowiek mocno się wychylił i spojrzął na wędrujące gwiazdy. Ponieważ jednak same ściany i okna musiały w krótkim czasie doprowadzić do szaleństwa kogoś, kto wiele śnił i czytał, mieszkaniec tego pokoju spędzał noc za nocą na wychylaniu się przez okno i przyglądaniu się fragmentom rzeczy znajdujących się poza realnym światem i szarością wysokich miast. Po latach począł nadawać imiona wolno żeglującym gwiazdom i wędrować za nimi w wyobraźni, gdy ześlizgiwały się poza zasięg wzroku.

Aż w końcu jego zmysły otworzyły się na wiele tajemnych perspektyw, których istnienia nigdy nawet nie podejrzewano. Pewnej nocy, nad ogromną zatoką został położony most i ścigane w snach nieba zstąpiły do okna samotnego obserwatora, zmieszały się z zatęchłym powietrzem w jego pokoju i uczyniły go częścią swego słynnego cudu.

Weszły do jego pokoju rozszalałe strumienie fioletowego lśnienia zorzy; wiry złotego pyłu i ognia, wirujące do najdalszych przestrzeni i ciężkie od zapachu spoza światów. Wlały się tam opiumowe oceany, oświetlone słońcami, których zwykłe oko nie mogło nigdy zobaczyć, mające w swych wirach dziwne delfiny i nimfy morskie niepamiętnych głębin. Bezgłośnie nieskończoność wirowała wokół marzyciela i unosiła go ze sobą w dal nie dotykając nawet jego ciała, które nadal sztywno wychylało się z samotnego okna. Przez niezliczone dni pływy dalekich sfer kołysały go delikatnie, łącząc go z uwielbianymi marzeniami, które inni ludzie już utracili. W czasie wielu cykli, z czułością pozostawiały go śpiącego na zielonym brzegu oświetlanym przez wschodzące słońce; na zielonym brzegu pachnącym kwiatami lotosu, znaczonego czerwonymi trzciniami...

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]